

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

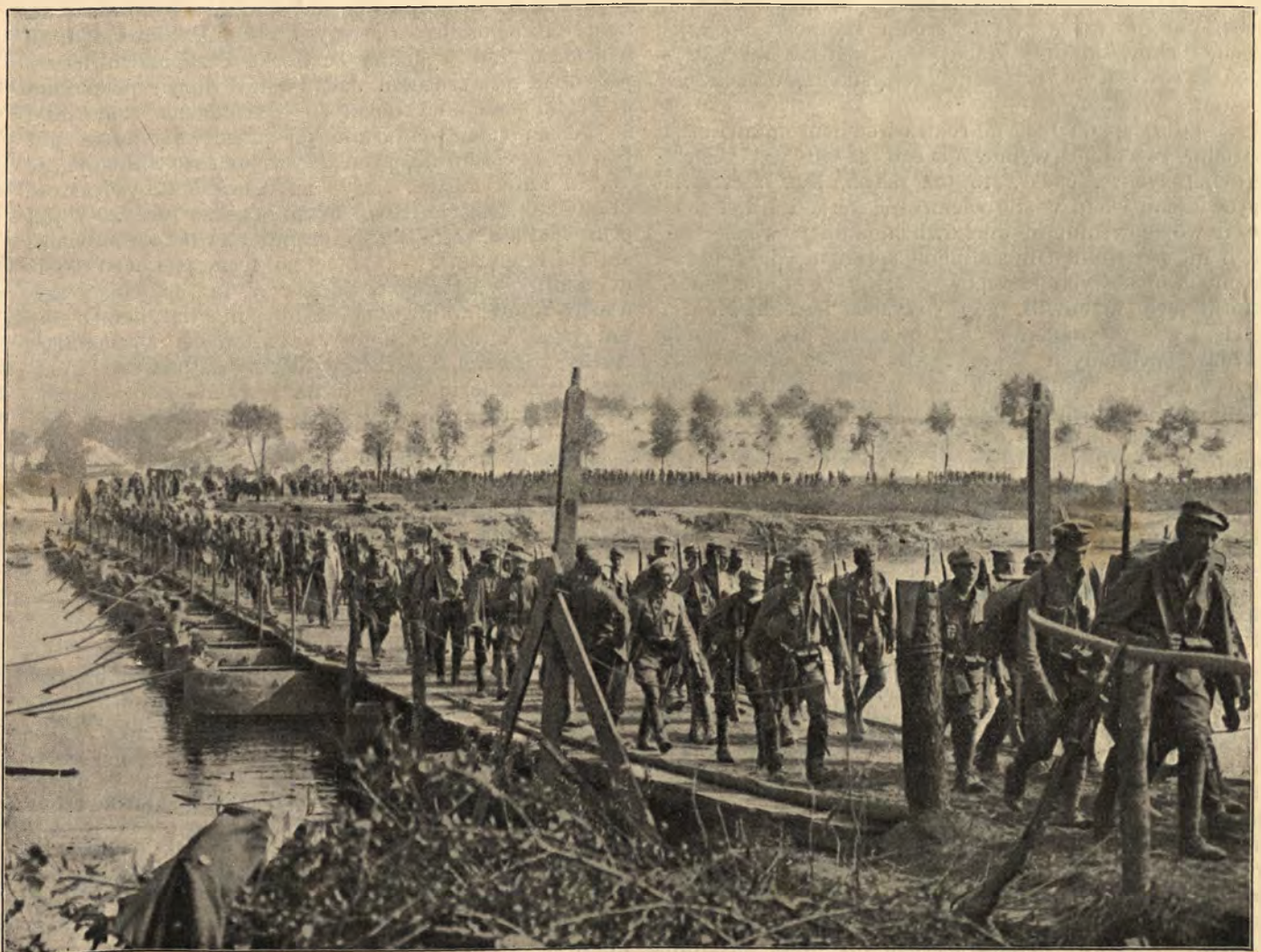
PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE, SZTUCE I SPRAWOM BIEŻĄCYM.

R. I.

KRAKÓW 5 GRUDNIA 1915

NR. 19.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



Przejście przez Bug koło Włodawy.

Fot. J. Langier.



PRZYCZYNY ZWYCIEŚTWA PODCHORAŻYCH.

Fragment, będący częścią składową mającej się niebawem ukazać w druku książki autora, przeznaczony do zeszytu listopadowego, z przyczyn od nas niezależnych zamieszczamy dopiero teraz.

Jakiż inny duch wieje od obrazu Warszawy, gotującej się do 17-go kwietnia 1794! Obrane miejsca, jako techniczne centra powstania, Arsenal, prochownia, są zarazem punktami zbornymi polskiego garnizonu; ku tym punktom marszem koncentracyjnym suną w umówioną porę wszystkie oddziały powstających wojsk; zaś lud Warszawy, płomienny, wrogów mienawidzący, otacza siłę zbrojną oczyszczającą pierścieniami burzliwych żywiołów, przecinającymi miasto wzdłuż i w poprzek, wiążącymi strumienie sił polskich, do jednego centra płynące, przecinającymi wszelkie koncentracyjne zamysły i próby rosyjskie. Namiętność powstającego narodu, zrewoltowanej Warszawy, przelewa się, jak płomień, nieustępliwa i gorząca, wszędzie czynna, od spisku jednostek na masy prostego żołnierza, od wodzów narodu we wszystkie źródła czynności społecznych, i znów od mas pracującego ludu aż ku wyżynom kierowniczym, zmuszając wszystkich do skoncentrowania wysiłków.

29-go listopada 1830-go roku ośrodkiem namiętności narodu, rdzeniem wybuchającego czynu jest Szkoła podchorążych; nie są-ż to już dzieci, lecz oficerowie wycwiczeni, wielu w sile wieku; nie ufają-ż li koleżeństwu wojskowemu, ni duchowi oddania u wojsk stolicy? nie przeniknęli może niemi spisku do głębi organizmu wojskowych szeregów i czują pewnie niemoc, ogarniającą w chwili, gdy wszystko trza stawić na kartę, i gdy niewiadomo, czem owo wszystko na karcie czynów spełnionych zaważy. Aleć w tej niepewności tem większym winien się stać wysiłek woli. A jeśli wątpliwe są oddziały wojsk i ich czynności, tedy zostawienie ich „jednego do Sasa, drugiego do lasa” jest zdaniem wszystkiego nie woli wszechobejmującej, ale na pastwę zdemoralizowania przez każdy z osobna i wszystkie razem czynniki rozstroju. J a k o ś t o b ę d z i e — wspomina sobie bezwład psychiczny organizatorów. Nie śmia wżruszyć z posad wielkiej fali ludu Warszawy, ogniem zbiorowych namiętności przemierzyć głębiny duszy narodowej, ni w powstającym kraju widzieć walkę o wszystko wzamian za krew pokolenia. Nieomylny to znak: bezwład czasów saskich odżywa, rośnie z dawnych korzeni ponad rzeczową twardość pokolenia ostatnich dziesiątków lat XVIII stulecia, i poi się w rosyjskiem pomięszaniu pojęć prawnych, państwowych i narodowych i w polskiej odtąd niestety niewiarze we własne siły. Ruch wywołany sposobem dowolnym wydadzą podchorążowie przypadkiem, a raczej wszystkim innym, wszystkim lepiej zorganizowanym, więc dawnym i ustalonym, więc ugodowym, przywykłym do spokoju, żyjącym już na mieliźnie półpolskości siłom narodu. Nim tę porzuconą na bruk Warszawy buławę hetmańską podejmą inni, nastąpiła chwila wielkiego zawahania i w obliczu czynu listopadowego nocy pierzchy miraże, złudzenia przysły; czego

nie było, to się nie powiodło: lud był niewiadomy, wojsko wahające. Nadeszła chwila, gdzie „stu sześćdziesięciu podchorążych i osmnastu belwederczyków — oto była cała siła powstania”; tylko tyle; tylko to, w czem istniała wola, w czem zarzyło się ognisko namiętności i gniewu wszystkiego narodu; serca dwu setek rycerzy nieustraszonych w ciemnej, zimnej nocy Listopada, w obliczu urzemięcej stutrzydziestotysięcznej stolicy. Zdziwienie przejmuje i myśl się pyta: jakim sposobem zwyciężyli?

Przyczyną powodzenia Polaków mimo ich bezpła- nowości i słabego łątna siły był najpierw u Rosyan głębszy jeszcze brak decyzji, planu i jedności działań. Jeśli bowiem dla powstańców mogło być sprawą niewiadomą, na ile wojsko polskie Królestwa stanie się od razu ich sojusznikiem, tedy też sama niewiadomość napełniła rząd wygodną beztróską i zupełnem lekceważeniem przeciwnika. Jak Polacy iluzją połączenia z Rosją, podobnie też ludził się Cesarzewicz Konstanty, że Polska cała, zaś armia jej przedewszystkiem jest pewną: „gwarantuję, pisał 25 sierpnia do Mikołaja, że W. C. Mość mozesz liczyć na armię i na większość ludności. Mieszczanstwo myśli bardzo dobrze i jest pełne oddania się; szlachta drobniejsza też samo, większa dla interesu...” — „Co się zaś tyczy pięknej i dzielnej armii — czytamy w liście z 29. tm., zupełną i całkowitą uinąć w niej pokładam, i nie wątpię o niej ani przez chwilę”. Stałowy instrument wyciągniętej służby, każdemu skinięciu posłuszny na paradzie, miał-że się rozszczępić przez ducha rewolucyi, niesubordynacy wcieloną? Sam Mikołaj, jeszcze za ostatnią bytnością w Warszawie, miał chwilę złudzeń, żywo przypominając Aleksandra: skinałbym, mówił, a poszliby wywojować przyłączenie Poznańskiego i Galicyi do mego Królestwa. Kierownicy polityki i władzy rosyjskiej w Polsce, z Konstantym na czele, nie zajęli się więc weale możliwością poważnego rozruchu, tem zaś mniej — poparcia go przez wojska Królestwa.

Utrzymanie wojska na „stopie wojennej”, podnoszone przez Mochnackiego, nie nosiło żadnych cech zapobiegawczych. Czy istniało z czasów Aleksandra rzekomo pochodzące rozporządzenie o nieużywaniu wojsk rosyjskich do tłumienia mogących wybuchnąć rozruchów ludowych — tego niepodobna dziś dociec; sama ich dyzlokacya nie dozwalała na żadną mocną czynność przeciwko powstaniu; oba punkty alarmowe — Belweder i Arsenal — przedzielone były przez cały środek miasta, już sam rozruch ludowy przeciąłby ich bezpośrednią komunikacyę, przymusił do niebezpiecznego ruchu kołem, polami, za Warszawą. Wojsko polskie pełniło swe służby dalej i jak dotychczas, zmieniało się z gwardją rosyjską na służbie warty garnizonu. W całym wojsku konsystującym w Warszawie, panował, jak zwykle, surowy rygor, ścisły porządek,

oschła ostrość. Służba była wyczerpująca i udrękliwa; alarmy nocne powtarzały się dość często dla utrzymania stanu gotowości sprężystej. Ale w tem wszystkim nie było nic wyjątkowego: punkty alarmowe, liczne warty, trzymanie w gotowości części konnicy nie były środkami, któreby przystosowano do sytuacji powstańczej; obrona punktów alarmowych nie była wcale zabezpieczoną: w Belwederze pełniło ją dwóch sztydłwachów-inwalidów, w Arsenale — zwykle warty nocne i dzienne. Sytuacja wojsk w Warszawie w momencie wybuchu 29-go listopada pozbawioną jest wszelkiej celowości. Udziału wojsk polskich w ruchu ludowym nawet nie przypuszczano, przeciwko powstaniu ludowemu nie przygotowano się wcale. Przykład 1794-go roku nie odczytał Rosyan lekceważyć swego przeciwnika, nie dostarczył wojskom Konstantego żadnej nauki o boju w mieście, nie zaczerpnięto zeń żadnej wskazówki o stosunku wojska polskiego do narodowego powstania. Jeżeli tam istniały choć ułamki planów, to jednak przy całej niepewności politycznej w stosunku do władz Rzpltej, wahanii Igelstroma, sztab zajął się planami obrony, wielkorządca Warszawy powziął już decyzję i tylko różnica dni, nieomal godzin, rozstrzygnęła o powstaniu. Tutaj brak było wszelkiego planu, jakiegokolwiek decyzji. I okazało się dowodnie, jak to na wojnach się wydarza, iż lepszą jest decyzja zła, ale powzięta i wykonana, nad brak zdecydowania, uwiad woli i wahanie w stanowej chwili. Fatalny, skomplikowany, niejasny, nieobliczający warunków, nieustalający sobie celu, plan powstańców, dał im jednakowoż zwycięstwo, bo go podparło ramię czynu. Ta decyzja szalonych — lecz zawsze decyzja, wywarła fascynujący wpływ na silniejszego wielokrotnie, nieumiejącego przełamać w sobie ciężar bezwładności. Powstanie osiągnęło atut, znamenitą wagę mający we wszelkiem przedsięwzięciu wojennem: czynnik niespodzianki, zaskoczenie przeciwnika.

Na pozór fakt ten wydaje się nieprawdopodobnym: wielkie zbiorowe zdarzenia rzadko się stają znienacka; rewolucje mają swe podłoże w uczuciach tłumów; spisek, gdy się przeradza z zbiorowe działanie stolicy, musi przesłać być tajemnicą. Podobnie było w r. 1794: „co pewien czas ponawiały się pogłoski o bliskim terminie wybuchu w Warszawie, tak, że w końcu przestano w nie wierzyć i dano się w ostatniej chwili nieomal zaskoczyć... Katarzyna sądziła, że powiększenie sił rosyjskich będzie dowodem przecenienia doniosłości ruchu“. W 1830-ym nietylko, iż wszyscy w ruch, jako w pewnik, wierzyli, lada chwila czekali wybuchu, lecz władza rosyjska Królestwa otrzymała szereg cennych i bezpośrednich wiadomości. Dwukrotne aresztowania wykryły część spisku i ujawniły jego rozgałęzienie w wojsku. Centr i głowa kierownicza rosyjskich działań w Polsce, Nowosilcow, wiedział o ogólnym stanie przygotowań, może nawet miał wiadomość o terminie wybuchu, wyzyskał ją dla zabezpieczenia swej osoby. Obok tych źródeł policyjnych i śledztwa, istniały inne jeszcze nie mniej wydajne, płynące z ideowych donosów: denuncjacje te, nie zawierające nazwisk, przecie cenne były bezwzględnie wiarygodnością, zdolne odsłonić prawdę zdarzeń, wydrzeć pierwszeństwo decyzji powstańcom, zbudzić wolę w bezwładzie rosyjskim. Lecz na tem nie dość: wkolo tych wiadomości codziennych, między are-

szty, badania, zdrady, wśród naprężonych oczekiwań, zaplotły się nici przebiegłych prowokatorstw. Archiszef policyjnej, Różniecki, pragnął brudne rachunki wojskowych dostaw zwikłać wywołaniem i zasługą wielkich spiskowo-politycznych wstrząśnień; Nowosilcow z agentami przeciwpolskiego kursu, może i dyplomatyczni zwolennicy okazji polskiego buntu dla zaduszenia polskiej wolności; może wreszcie i poszepty pruskie, zwykłym instynktem interesu szukając wolnych dla siebie rąk w cudzej klótni; takie były dziwnie sprzymierzone wpływy, wplątujące nici swojej intrygi między osnowę powstańczych zamierzeń. Dźwignią tych zamierzeń była znów tak niebezpieczna w każdej wojnie chęć lekceważenia swoich przeciwników: powstanie polskie przedstawiało się im, jak ogienek o wielkich kłębach dymu, na który wystarczą policyjne sikawki, niepotrzebna zaś wcale na tę uroczystość zniszczenia znieświadczonych lachów wydawała się im wojenna parada. W rozruchu nie widzieli nic ponad pretekst żandarmsko-śledczych zarządzeń, sposobność do urzędniczego przewrotu. Podobni szalonym dzieciom, podpalali dom dla ukrycia cudzej strzaskanej zabawki; znaleźli naśladowców w pamiętnikarzach, którzy w ich działaniu dostrzegli nieomyślne prorocstwo nadciągającej na Polskę klęski; znaleźli usprawiedliwaczy w dziejopisach, którzy podłożyli dziwny rozum stanu pod tamten zamysł dusz policyjnych, ustalając niedwuznacznie, iż to w interesie Prus lub Rosyi zdziałaniem zostało powstanie, że prowokacja odsłoniła, czyj był zamysł, a czyja korzyść. Dla nas, zbierających cegła za cegielką, wspomnienie za wspomnieniem, uczynek za uczynkiem w dokumentach z tych dni; dla nas, dla których dziejopiśmiennictwo nie jest zaocznem osądzeniem źródeł na mocy prawnie ustalonych skutków, lecz jest nade wszystko nietatwą, lecz śliczną, jak przyroda, pracą, przeżywania tamtych dziejów odnowa, przepłynięciem znowu wezbranej rzeki zdarzeń od początku do końca ojczystem łozyskiem, zobaczeniem znowu, co tam każda kropla widziała w przepływie; dla nas rozstrzygającą o inicjatywie powstania jest wiadomość, kto rzucając się w te odmęty, wiedział, jaką jest fał bezbrzeżność, czuł, jak niewstrzymanym i niezmiernym jest ognia żywioł. Żaden z prowokatorów policyjnych, żaden z dyplomatycznych intrygantów, nikt z tych, co w Belwederze, na Zamku, na Ratuszu warszawskim wkładali w polskie powstanie swoje obawy, czy swe nadzieje; nikt w Berlinie, ani w Petersburgu nie odczuł w przededniu, jakim ciężarem stanie się dzień jutra; nie rozumiał, że ogniem lokalnym i niewinnym wywołuje wielką wojnę.

Dlatego zwyciężyła w noc 29-go listopada Szkoła podchorążych, dwustu ludzi, Warszawę, kraj cały, ale przedewszystkiem wolę wroga, iż posiadała z góry tę moralną przewagę, jaką daje decyzja i świadomość wielkiego, brzemienego dziejową tragedją czynu. Świadomość taka jest czasem krótką, jak błyskawica, lecz oslepieja tego, w kogo jej piorun uderzy. Zazna-ż światła tej świadomości naród cały? Tego niewiedzieli podchorążowie piesi szkoły warszawskiej, wydzierając czynem nocy belwederskiej z lekkomyślną swawolą prawdziwych rycerzy inicjatywę z rąk wodza potężnej polskorosyjskiej armii Kongresowego Królestwa.

Michał Sokolnicki.

ADAM ZNAMIROWSKI: VLASTIMIL HOFMANN.

Idzie się ścieżką polną — widzi się lasy, góry, rzeki. Zastanowi na chwilę któraś grupa drzew, spodoba się muzyczne falowanie gruntu, rozmarzy się wierszotliwa monotonia fal wodnych. Aż naraz skurcz serca, gwałtowne omamienie niespodziewanej szczęśliwości: jakiś fragment, strzęp wielkiej dekoracji, zabawka, drobiazg. Czemuże to stało się, że niby nagły przywiew jaśminowych woni, niby sam czar ucieleśniony, urzekł zubożniałe oczy potulny widok małej kapliczki przydrożnej?

Szczególny zachwyt wzburzył osobą powierzchnię zadumy, rozrasta się, zatacza coraz szersze kręgi, zahacza o dzieciństwo, o podświadome, o tysiąc rzeczy zapomnianych, umarłych.

Liliowy obłok Wielkanocnych Świąt, kolorowe świece Bożego Narodzenia, wizja szopki czarowna i naiwna, jak baśń o zaczarowanym pałacu, wszystko to tam się wraz zbiegło, w tę miniaturę kapliczki, w ten nieudolnie z drzewa wyciosany kształt Krzyżowej Męki, w te biedne ornamenty o zmatowanych barwach, w te kwiaty z bibułki i bukieciki zawieźle. A i to jeszcze, że ten świat i te wzruszenia były kiedyś, już tak teraz nieskończenie dalekie, że bezpowrotnie zanikły, że je już przeżywać tylko można jako echa, jako wspomnienie, wysiłkiem z grobu dobywane.

Jeden moment i już symbol, mania, opętanie motywem, który gdzieś tam na oka mgnienie skupił w sobie wszystkie barwy, wszystkie tęsknoty i olśnienia duszy.

I tak stał się Vlastimil Hofmann pątnikiem małych krzyżyków przydrożnych, zaludniających cichym smętkiem całe cykle jego obrazów, z upartą monotonią akordów Szopena, które wieczystym nawrotem zmysłom ukazują nieskończoność. Elegia owego momentu przywarła już na zawsze do pendzla i stała się muzyką barwną wszystkich natchnień, choć dekoracja nowa zajęła miejsce dawnej, a linia nastroju, obiegająca dotąd ornament kapliczki, przerzuciła się na postać ludzką, na jej wyraz duchowy i malarski. Linia przypominała muzykę, temat należał do poezji, ale szczegóły czepiały się rzeczywistości, oko śledziło wszystkie jej załamania i zaułki, twardy realizm podsadzał się pod nadbudowę snu.

Kolejne serye obrazów, to malowane dzieje tego dysonansu, na który się złożyły surowa prawda plam zbyt rzeczywistych i przedziwne zaprawdę arabski marze-



Anbelli.

Vlastimil Hofman.

nia, cichą muzyką podmywające coraz uporczywiej grunt zwalisty dosłownie pojętej materii.

W świat naokolny wrąbywał się Hofmann marzeniem i bił weń kilofem górnik, dobadywującego się przekrojów ziemi. Spojrzenia snu mieniał kolejno z ostrowidztwem inkwizytora i czekał na chwilę, kiedy dwa światy, nieprzejednane napozór, stopią się w czarodziejstwo akordu, w świetlaną zjawę metafizycznej jedności.

Wykruszał się podczas zewłok poczwarki, w którym drzemiała wizja, płachty rzeczywistości ostawały się gdzieś po gościńcach. Do ziemi niepojętej, gdzie ból, marzenie i barwa łączą się w przesmutnej harmonii, zdążał sen, spragniony snu-sobowtóra, dopełnienia, całokształtu.

Znalazł ją na przestrzeni kart książki, książki, której każde słowo jest snem, w której lodowce przeistaczają się w czar, polotniejszy, niż zapach jaśminu, a bezbrzeż śniegów ulepiona jest z zawrotnego szczęścia melancholii.

Uniosły się powieki, rozdarte piorunami tamtej wieczności śnieżnej i znieruchomiał wzrok, wklęty straszliwym osłupieniem w bezmiar dziwu. Znieruchomiał kamiennie i niby głazem zaciężył nad przestrzenią tragiczną, nad próżnią napastniczą. Że mu się dekoracja lodowa w łąki majowe, zielenią rozśpiewane, zamieniła... Spełniła już swą rolę twardej szkoły, niepotrzebna już więcej.

Bezbrzeżny teatr śnieżny przerzucił się na oczy, które się poryte być zdają białymi piorunami, wysnutymi ze sybirskich szlaków.

Zamknęły się w ich przepastnym natężeniu dzieje krainy, która zesłała wraz do roli tła dekoracyjnego. mgła przyczepiona do granitu postaci.

Zimny, surowy połysk, właściwy palecie Hofmanna, który odstawał twardo od jego dawnych, sielankowych płócien, tu, na tym obrazie patetycznym, stwarza harmonię grozy, zestrojoną przedziwnie z mroźnym techniem idei ofiarnej.

Dawna słodycz przedzierzgnęła się w nieuchwytność wdzięku, podobnego do cichych ech, zgłuchających, w dali. Surowe tony, wydzwonione z granitów idei, zapanowały nad barwą, nad rysunkiem.

W posepność zimnych plam i bezwzględność obrysów wniknął majestat natchnienia, wylkanego z sybirskich otchłani. Hart ducha, zolbrzymiałego w heroizm, tchnął potęgę w kolory, brzegi konturów zaostrzył, niby szpadę.

Jest ten Anhelli Hofmanna, gdy się tak z poza ramy obrazu upiorowo ku tłum tragicznym wyrzuca, niby miecz, w mocarnej dłoni rozważany, nad przepaścią w straszliwym przyczajeniu dygocący.

JULIUSZ KADEN = BANDROWSKI: MOGIŁY.

Te zapomniane po drogach ciche grządki — to my i sen nasz niezapomniany...

Ta mała, pusta wyniosłość wśród zbóż — to my i nasza дума wyniosła...

Ta mała fala gruntu przy szosie — to my, a w jednej fali całe morze...

To ledwie widoczne u ściany drzew stwardnienie doliny w guz niewielki — to my i upór nasz...

Te jakieś kopce po lesie, — jakiejże granicy kopce — to my....

Miejsce w cichutkich, słońcem i lazurem wiosny zemieliowanych sadach wiejskich, w błogosławionej ciszy urodzajów, miejsce odgródzone drutem kolczastym — to my....

Zrudziały znak na krzyż wyciętej darni, którą mak bryzgiem krwi nakrapia, — to my...

Na stoku górskim, w ogrodzie, grządka na zawsze nieuprawna, z której szaleństwo dzikich dzwonek dzwoni i upojną goryczą technie pokrywa, — to my i nasze szaleństwo...

Na ugorach porożonych szramą wojny zebrane w jedno miejsce kamienie, — to my...

Sosna, której cienia nikt używać nie śmie, pod którą nikt nie spocznie na piaszczystym szlaku straceńców....

My jesteśmy nieustannym wybuchem polskiego ducha i męstwa, jesteśmy ciężką falą wieczności, — my mogiły... U nas zasypia młodziutkie pokolenie boha-

terów na wieczny sen, w nas się chronią i tleją skrwawione mundury strzeleckie, my skarbimy tę pleśń cudowną i owe truchło święte, z którego się lęgnie piorun miłości i sławy świt.

Niech baczy kto idzie lasem dziś po wielu latach... Niech czuwa, kto jedzie wśród złotego przelewu wiosny rozkwitów, niech pilnie słucha, kto dumny wzrostem stanął wśród równiny pod rozprężonym błękitem namiotu Lata...

Niech tęskni — kogo dosięgnął miedziany grot jesieni, niech wspomina, — kogo już zima obleka w mroźne aksamity...

Bowiem w lesie na garbach mogiły paprocie szczęściem proszą, w wiosnie rozkwitów weseli się zasługa, w namiotach lata niebieskiem drzeniem Sława się wdzięczy, miedziane groty jesieni haftuje krwawy znój, a czysty aksamit zimy gore w blaskach...

Lecz nie zrozumie kurzu szczęścia na garbach leśnych, nie złowi nadziei pod wiosną, w lecie sławy nie ścignie... Jesień mu serca strzałą krwawą nie zboczy, ciszą nie utuli zima... Lecz nie zrozumie pyłu szczęścia, kto nie zna sosny, pod którą nikt spocząć nie śmie, — grzędy, na której dzwonią dzikie dzwoneki i upojną goryczą technie pokrywa...

Bo my jesteśmy morze rozkołysane, jesteśmy świętym wybuchem polskiego ducha i męstwa.... Bo my mogiły jesteśmy falą wieczności...

TADEUSZ SZANTROCH: W OKOPACH.

*Tyle się uczuć, myśli tyle
po tych okopach ścieli, przedzie,
jakbyś usiadłszy na mogile
był z kimś umarłym w pogawędzie.*

*A snuje się ich wątek szary
od serca twego przedzą cienką,
aż w coraz szersze się obszary
rozłtka za niewidzialną ręką.*

*Otoczy twej kochanki głowę,
zaprzędzie się w jej włosów kosy
i wspomnisz dobre chwile owe:
na spiekę tęsknić krople rosny.*

*Przewinie się przez dom twój mały,
omota drogie ci posłacie,
co będą z dali swej wołały
na ciebie, znanym głosem: bracie!*

*Aż się posepną mgłą rozścieli
nad całym tym cierpiącym krajem,
gdzie się to ongi dwaj anieli
zeszli z piastowym obyczajem.*

*I w mgłę tej smutny szukasz oto,
jakiejś w bezdrożach pewnej drogi,
gdzieby się zeszedł lud z łęsknotą
i na Wawelu wstąpił progi.*

*I patrzysz przed się pochylony
w okopach, w mroku — w żar ogniska...
Gdzieś... strzały wedet... z tamtej strony
nad wsią daleką, łuna błyska.*

JAK ROŚNIE LEGENDA.

(Z NOTATEK LEGIONISTY).

Już gdzieś walczy, druga, moja Brygada... Krążą o niej pogłoski dziwne o chwale zdobytej, o stratach dużych. Pogłoski krążą, prawdę zdobyć trudno, a pociąg tak się wlecze, tak wlecze...

Przez pola jedzie puste i szare; deszcz mży, okna wagonu perli, a za tymi oknami horyzont się kładzie i w wolnym biegu powoli ucieka... Taki beznadziejny horyzont

na którym nie widać nic, jak tylko tu i ówdzie rów strzelecki koło toru biegnący, drut kolczasty miejscami zerwany, albo mogiłę żołnierską, gdzieś samotną czy chałupę pustą, kikutami desek sterczącą ku niebu lub takichsamych chałup grupkę hen, na widnokręgu... Na drodze zaś gdzieś, czasem, zewłok koński gnijący i psy się po polach włóczą, umykając na widok pociągu tchórzliwe takie, czy też przerażone wojną, która tu przeszła aż nazbyt widocznie.

I jedzie tak pociąg krajem takim i postaje czasem na godzinę, na godzin kilka lub i kilkanaście... Noc mija i dzień cały — a my jedziemy i jedziemy...

wioski i miasteczka, zerwane mosty i stacje spalone. — Pustka, zgłiszcza



Cmentarz.

Rys. Stan. Janowski.

— i dni jazdy całe, aż stajemy wreszcie na stacyi ostatniej. Stąd już pociąg dalej nie idzie, tylko lecą czasem aeroplany nasze i obce — a dołem przez piaski i bagna suną wozów rzędy długie na pozycje nasze...



Treny.

Rys. Stan. Janowski.

Jest tuż za stacją w cmentarz nowy. Nie było go jeszcze dni kilkadziesiąt temu; ale teraz go wojna na te piaski żółte, na tło sośniny złote i zielone, pod ten strop nieba ołowiany i smutny rzuciła. A żołnierskie go ręce w koronkę brzeziny ubrały, oplótły w parkan jak w wstążkę przezczystą i srebrną, i tak urósł ten cmentarz wojskowy zaciszny, przeszludny, w mogiłnych krzyżyków biel strojny...

I pokładli się na tym cmentarzu żołnierze obcy i nasi... Tu Sternschuss, co w armii porucznikiem był jak i u nas, a potem szarży się wyrzekł, byle w bój jako szeregowiec I Brygady iść coprędzej, głowę swą ukochań piękna i Ojczyzny pełną na spoczynek złożył wieczny... Tu legionistów przy nim legło sześciu i... „Moskał“ Cieśliński Jan — może kulą ugodzony bra-

nią. Wojny dzisiejszej dramat zwykły... A nad nimi sosny tylko szumią, i świstem zdają się ich witać i żegnać lokomotywy z kraju i do kraju jadące, albo z szumem przelatuje ptak-latawiec, i zdala tylko dudnienie strzałów idzie głuche, przy którym tu tak cicho, tak pięknie jakoś, że chciałoby się przy tym grobie klęknąć, głowę oprzeć i dumać i marzyć i śnić wraz z tymi co w zadumie cichej na krwawej serc swych purpurze spoczęli na zawsze...

Lecz czas leci... I jakby niepomne tego jadą treny „borem lasem“, jadą zwolna przez piaski i bagna. Sypie się piasków miał szary, skrzypią koła; szumią w wichrze drzewa, zielenią zgniłą prześwieca bagien toń zdradliwa... Tak tren do frontu jedzie poleską drogą smutną, przez las rozjaśniony tu i ówdzie, polankami małymi, drogą na bagnach budowaną i piaskach, z krąglakami rzucaną tu i ówdzie, wijącą się jak wąż ubity, nieruchawy, lśniący tu i ówdzie od bagien nań włączających niby luską matową, zielonkawo-szarą

Taką to drożyną, nie zawsze i nie całkiem na mapach znaczoną, zapadając się chwilami po osi w piachach szarych i żółtych, grzęznąc w bagnach — w coraz głośniejszem, w coraz bliższem armat łomotaniu — dojeżdża się pod wieś, gdzie kwatera sztabu — pod cmentarz wioskowy, szary, zburzony jakiś, choć żadna mogiła, żaden krzyż nietknięty... Cmentarz, po którym przeszła burza wojny i cichość mu nadmogilną wzięła wszelką, koczowisko ludzkie i końskie rozwalając wokoło, niezbędnie, za frontem... Bo co dalej już jest, to front, to linia bojowa, to miejsce, gdzie już granaty biją, i gdzie jest mózg „odcinka“, komenda...



Sp. Kapitan Tarkowski.

Rys. Stanisław Janowski.

Od cmentarza w wieś minuta drogi... Polaną się idzie jakąś od traw zwiedłych szarą a wyszczerbioną w doly żółte, aż pod chałupkę małą u której chorągiewka trójkątna komendy dywizji oznacza... Chorągiewka białoczerwona i na niej litery nasze: L. P.! Dywizya polska, pierwsza polska dywizya!

Z drzwi do niej sionka — a zaraz za nią izdebka nieduża. Dwa telefony polowe, dwie ławy, stół i łóżko polowe, na którym płaszczy stos, czapek i kozuchów, a wewnątrz oficerów naszych kilkunastu, jeden polski, austriackich paru. Gwar, rozmowa, meldunki, rozkazy. Ktoś na mapie na stole leżącej jakieś znaki, jakieś linie kreśli, ktoś telefonuje, ktoś dyktuje rozkaz jakiś... Tak i w taki sposób przygotowuje się bitwa, którą stoczmy jutro.

Stąd drzwi otwarte, z zawias wyjęte, do izdebki drugiej, tam komendant nasz Eksc. Durski z szefem sztabu kap. Zagórskim o czemś rozmawiają. Może decyzje ostateczne, może postanowienia ważne. W to wszystko zaś wchodzi ciągle ordynansi z meldunkami, oficerowie nasi i nie nasi... Ruch, gwar, coś, czemu nic tak nie odpowiada, jak to powiedzenie banalne i proste: głowy urwanie... w którym czas musi się



Kuchnia polowa.

Fot. Langier.

znaleść nawet na kolację, podczas której żadna czynność się nie przerywa, telefon piszczy, meldunki idą, a w dali karabiny grają swą piosnkę stłumioną bez przerwy.

Kto maluje, niech wyobrazi sobie! Las, skraj lasu, cypel oberwanej ziemi a na nim wznoszą się jak maszty wysokie w ciemni grubej igliwa zlewające się z czarnem a gwiazdzistym tłem nieba... Dołem ogniska płomieniem się żarzą, refleksiem bijąc w korony drzew i w płótna

przeróżowione namiotów i w te kontury postaci żołnierskich na skraju lasa stojące-

Weź ołówek Grotgera i paletę Rembrandta, stop jeden z drugą i stwórz obraz — a ujrzysz piękno tej dziwnej chwili przed bitewnym porankiem, którego mgły już się przez las ścielić poczęły widmowo, ukazując kontury wozów, koni i ludzi idących... Toć są rzeczy, które widzieć trzeba.

A potem postój w lesie, świt dnia mleczy i dziesiątki ognisk we mgle się żarzących a dymem po drzew sięgających korony.

I zaczynający się zrana, o szóstej koncert setki dział z górą, grających i huczących na zdobycie wzgórza, o które już przed kilku dniami krwawo walczyły nasze mężne bataliony. I to słońce wstające nad lasem w żołnierskiego trudu dzień mglisty i szary...

I szrapneli chmurki białe wykwiatające na niebie.

I ta wiadomość z południa samego już idąca: wzgórze wzięte!

Dziś, 11. listopada, po bitwie wczorajszej J. E. Durski otrzymał telegram.

Szare go druty przyniosły telegrafu polowego... Telegram — rozkaz, uznanie, pochwałę. Uznanie wojskom naszym, które wzgórze wzięły, pochwałę ich męstwa, odznaczenie wodza...

I stało się, że pierwszy żelazny krzyż niemiecki ozdobił pierś legionowego wodza...

Stało się, że w przeciągu dni 20, ośm pochwał przysłali nam generałowie niemieccy, nam... już nie legio-

nowi, już nie oficerom w tej a tej „na czas wojny klasie rangi“ ale... piechocie polskiej, polskiej kawaleryi...

Tak oto... legenda nasza rośnie, legenda, którą nie my, lecz armia świat w podziw wprawiająca, o nas, o legionowej dywizji jednej tworzy...

Wiktor Mondalski.



Budowa mostu..

Fot. Warcholif.

Nad ranem opuszczą wieś treny. W lesie na polanie staną, i czekać będą rozkazów.

O trzeciej rano w noc ciemną i głuchą, gdy jeno gdzieś na flance karabiny grają, budzą się treny gwarem głośnym, a w kwadrans, w pół godziny, ruszają polem, za cmentarz w las ciemny, taką samą drogą, jaką przybyło się tu wczoraj, tylko że w noc, to i inną, tajemniczą bardziej, uroczą jakąś i piękniejszą, tak piękną, że słów na jej opisanie nie starczy...



N E M O : W A R T A.

Stał zapatrzony w ciemną dal, oparty plecami o ścianę chałupy, z karabinem na plecach i dumiał. Posterek mieścił się na niewielkim wzgórzu, grunt opadał połogo rozlewając się w wielką równię, obrzeżoną od zachodniej strony czarną, zębatą sylwetą wsi, u krańca której piętrzyła się zwarta masa drzew.

Granatowe niebo wypełzło nieco na skraju horyzontu sklepiło się ciche, dumne nad bezgłosym światem, niby przeogromny baldachim rozpięty stropem niezmiernego łoża, gdzie śni swój sen o życiu twór wszelaki, a srebrne gwiazdy gwiazd, białe w aksamit nieba migotały głowicami, szlifowanymi ręką aniołów od zarania przedwieczności.

Było cicho. Ustal prąd wiatru płynąć, położył się spać w trawie... spoczywał, czy czekał na coś... niewiadomo.

Żołnierz zaparł się nogami przed siebie, wygiął zmęczone plecy, zwił na ścianie, napoly rozwalonego domostwa i trwał w stanie sennej jawy, w której miesza się sen z rzeczywistością. Stał i nad słuchiwał odgłosów. Wydało mu się, że pełni służbę już długo, długo, wieki całe. Przez ten czas przemysłał już wszystko, co tylko mogło wejść w zakres świadomości człowieka nie posiadającego żadnych źródeł prócz własnych wspomnień, dawno zwiędłych, kilku fragmentów przeżytych osobiście, wyrwanych z całokształtu zjawisk, przeto niezrozumiałych, oraz kręcących się ustawicznie około jednego tematu rozmów towarzyszy.

Karabin odgniał mu ramię boleśnie, nogi drętwiały, po plecach pełzał jadowity żąb, podobny do węży szukającego miejsca gdzieby użreć.. To oczekiwanie, ten ból tępy, ten stan pustki duchowej i zimno łączące po ciele, wszystko razem nakryła jeszcze płaszczem swoim nuda i zapanowała, przytłumiając inne uczucia.

Od bagien szło tchnienie ziemne. Płynęło nie jak wiatr płynie, szumnie, otwarcie; zbliżało się niewidzialnie, bezgłośnie, stąpało po koronach późnych kwiatów jesiennych i czubach traw, brutalnie, niespodziewanie, z ucieszą i tępym spokojem świadomej siebie bezkarności.

Żołnierzem wstrząsnął dreszcz i ruch ten mimowolny zbudził go na chwilę z zadrzemia.

Wyprostował się, podrzucił karabin na plecach i nagle zwrócił się w lewo.

Począł iść powoli wzdłuż ściany. Gdy mijał jedno z czarnych, wyrwanych wraz z ramami okien, mimowoli rzucił okiem przez czeluść do środka.

Spojrzał i — zdrętwiał.

Uczuł, że włosy powstają mu na głowie pod czapką, zimno mu się zrobiło w piersiach... stał przez chwilę nieruchomy, spokojny jakby porażony. Głowa jeno opadła mu nagłym ruchem w dół, jak po śmiertelnym strzale w skroni.

Stał, walcząc rozpacznie z niemożliwością uczynienia ruchu wstecz czy naprzód, wreszcie zebrał całą wolę, szarpnął się, rzucił całym ciałem w bok, biegiem minął drugie okno i stanął skryty za węgiel domu.

Tam, wewnątrz, świecąc na czerni jak pruchno srebrnym blaskiem siedział ktoś na kupie worów. Siedział z kolanami niemal pod samą brodą, podpartszy głowę rękami i śmiał się.

Żołnierz zerwał z ramienia karabin i ścisnął go nerwowo w obu rękach.

Serce tukało mu się w piersiach, do głowy buchnęła

fala krwi. Czuł, czego nie doznawał nigdy, czasu naj-sroższej pukaniny, że go coś ścisną za gardło.

Stał tak przez czas jakiś, wreszcie w świadomości zaświeciło mu:

— Dzięki Bogu mam przecież zapalki!

Nie wiadomo dlaczego wydało mu się wybawieniem, przecież za nic nie byłby podszedł do okna, by poświęcić.

Stał i czekał na jakiś szelest, na jakiś ruch i pragnął gorąco, by to był jakiś żywy, prawdziwy człowiek. Niechby się potem stało cokolwiek bądź.... Mniejsza z tem... byle to był tylko człowiek... złodziej... wróg... byle człowiek.

W domu panowała głęboka cisza.

Ostrożnie postąpił krok jeden naprzód i — omal nie krzyknął w głos.

Coś brzękło metalicznie, rozgłośnie tuż obok i potoczyło się po kamieniach.

Błyskawicznie złożył się do strzału, mierząc, o ile ciemność pozwalała, tam, gdzie musiałby wychylić głowę człowiek, chcący wyjść oknem.

Nie strzelił jednak. Coś, czego nie umiałby określić, szepnęło mu nagle do ucha:

— Czekaj!

Stojąc tak z bronią przy oku spostrzegł nagle, że kontur chałupy odcina się jaskrawo na jakimś rudawem, niemal czerwonym tle. Wpatrzył się lepiej w czerwien i pojął, że to jest luna.

Natychmiast doznał ulgi. Spostrzeżenie uczynione złamało napięcie nerwów. Opuścił karabin, odstąpił od ściany i znowu potrącił coś, co brzękło rozgłośnie i potoczyło się dalej na dół.

Odetchnął pełną piersią. To była blaszanka z konserwy... tak, wszystko w porządku.

Wciągnął kilka razy głęboko w piersi zimne powietrze w płuca i potarł ręką czoło. Zaraz też pojął resztę. Światła na oddali... oczywiście.

Postąpił jeszcze krok i spojrzał już całkiem przytomnie w dal.

Wiedział już wszystko... teraz wiedział, że mu się przywidziało, ale porwany jakąś dziecięcą chęcią wejścia przecież do ciemnego pokoju, gdzie... wiadomo... niema niczego strasznego, przystąpił do okna i krzyknął donośnie:

— Kto tam! Hej!

Nie oczekiwał odzewu. Wydało mu się tylko, że to jest obowiązek.

Nic nie przerwało ciszy, ale wewnątrz nie było całkiem ciemno. Poświata idąca ode wsi pozwalała rozróżnić przedmioty. Tedy ujrzał worki spiętrzone jeden na drugim, na samym zaś wierzchu stał oparty o ścianę rozwiązany wór owsa, z którego wzięto przed kilku godzinami parę garncy dla koni oficerskich.

Poweselał. Epizod ten dodał mu otuchy. Zaczął teraz chodzić rażno tam i z powrotem, stukając obcasami o kamienie rozrzucone po ziemi, szczątki jakiejś budowlu rozbitej na proch pociskami armatnimi.

Miał chęć zagwizdać sobie, ale ledwo złożył wargi, chęć ta go odbiegła, uczuł natomiast jakiś wewnętrzny nakaz, by był cicho.

Stanął więc znowu na tem samym miejscu i zapatrzył się w dal, na której leżała delikatna, ruda poświata.

Drzewa odcinały się ostrymi konturami na czarnem,

aksamitnem teraz tle nieba. Światło drżało, migotliwa szeżoga leżała nisko, na trawie samej nieledwo, była jakby jeno świetlnym oparem bagnisk, nie miał nic z rzeczności światła żywych, które budzi radość i poczucie łączności z ludźmi. Zbiegały się do niej same jeno nietoperze i duchy... to pewne... mimoto jednak, ten nikły pas jasności, leżący na czerni, wydał się patrzącemu zjawą stałego, trwałego ładu na bezmiernym, nie mającym dna oceanie smutku. Śledził z uczuciem ulgi drzenie połyskliwe oddalonej pożogi jakiejś, gorejącej, uśpionej w ciszy.

Myśli wykonały błyskawicznie zwrot wstecz i biegły w przeszłość, ku dniom i ludziom, którzy przeminęli, pomyślał o rodzicach... bracie jednym, drugim... kędyś na wojnie. Dawno już nie miał wiadomości... zwłaszcza o Józku... ciekawość czy już wyszedł ze szpitala... Ej, pewnie już na froncie! Tylko gdzie...

Toczyły mu się przez myśli obrazy znane, płynęła wstęga życia małego, spokojnego, snująca się skądś z nieznanych dali powoli, jednostajnie... nagle przzerwana, wystrzępiona. Wydało mu się, że wszystko to było, niby jakaś cicha, mała chatka, przytulona do stromej, silnej opoki... pewności jutra... Nagle padł granał z nieba i chatka znikła jakby zdmuchnięta... bez śladu. Starzy uszli... błakają się gdzieś światami, żyjąc z zasiłków, jakie im wysługują synowie na wojaczce... straszna wysługa... Młodzi, w polu.

Nasza nawet i o czem tak znów wiele myśleć.

Pozostaje tylko po całym tem zajściu niespodziewanem, którego nikt nie oczekiwał, jakby jakieś stałe zdziwienie. Występuje ono w rzadkich chwilach samotności, w momentach nudy, kiedy rozwieje się wspomnienie służby i codziennych jej wymagań... czasem też przy szklance piwa...

Jakże się to wszystko mogło stać? A więc to jest prawda!

Jakiś niezmiernie silny, potwornie wielki, słońący sobą wszystko olbrzym powstał ze ziemi, na której leżał od czasów niepamiętnych niewidoczny, niepoznany przez całe pokolenia i rzekł:

— Chodźcie!

A wszyscy poszli gdzie kazal.

Oczywiście żył i leżał wtopiony, ciałem kędyś w ziemię, podobny do rycerza śpiącego z baiki i był gdy wszyscy się śmiali mówiąc, że umarł... żył gdy wszyscy pokazywali grób jego... często pobierając opłatę. Są tedy na świecie rzeczy namacalne, realne, których jednak nie widać... których nie widać długo... długo... Może się coś przez czas niezmierny ukrywać, coś zmarłego, co silniejsze od tego co żywe i mocne. I to coś, właśnie w chwili gdy się najsilniej zaprzecza mu potęgę, nagle podnosi głowę, prostuje się i rośnie, rośnie przeraźnie szybko, sięga głową nieba, staje się jak zwal czmur niosących w swem łonie burzę zagładę, pokrywa czarnym dymem szafir niebiosów, szafir tak jasny wczoraj jeszcze, przezysty od kiedy myśl zapamięta... i piorunowym głosem mówi:

— Otom jest!

Wszystko to przedstawiało mu się w stanie napół jeno sformułowanym, obleczony w mgławicowy kształt wielkiego, nieustannego zdziwienia, które to uczucie nikło często we fali codzienności, zatracalo się w rytmie dziarskich piosenek, tonęło w rozgwarze rozmów, niszczało zda się doszczętnie... a jednak trwało i wychylało głowę na świat...

Zadumał się, zapomniał na chwilę, gdzie jest i co robi. Cisza panowała długo.

Nagle drgnął całym ciałem. Coś zaszeleściło tuż obok.

Zerwał z ramienia karabin i czekał.

Szelest szedł powoli ku niemu. Nagle ucichł. Rozległo się natomiast ciche, krótkie skomlenie.

Zaklął pod nosem i zaczął wabić:

— Na tu... Na tu!

Biały, duży pies wynurzył się z ciemności i stanął w odległości jaką mu naznaczyło widać wojenne doświadczenie. Chudy był niezmiernie. Kręcił ogonem, nie zbliżał się jednak, badając troskliwie sytuację. Spoglądał to na chałupę, to na żołnierza, jakby niepewny skąd się można więcej spodziewać doraźnych korzyści dla żołądka.

— Na tu... na tu! — wołał żołnierz.

Pies dalej kręcił ogonem i stał w miejscu.

— To idź do dyabła! — zaklął wreszcie i ruszył dookoła chałupy.

Zdaleka, ostrożnie kroczył za nim pies. Obeszli tak obaj dom dookoła i stanęli na dawnym miejscu. Naraz pies podniósł pysk do góry, zachłysnął się jakby własnym głosem i zaczął ujadać. Szczekał przeraźliwie. W ciszy nocnej szczekanie to rozlegało się przeraźnie, okropnie.

Głos miał ochryply, natrętny, wrzaskliwy.

Żołnierz począł nań wołać, a gdy to nie pomagało, schylił się, podniósł odłamek cegły i rzucił. Pies uskokczył w bok, ale nie poszedł. Przeciwnie, podniósł jeszcze wyżej pysk w niebo i począł teraz wyc przeraźliwie... strasznie... aż się dusza mroczyła od tego wycia.

Żołnierz rzucił jeszcze kilka razy za psem. Nic nie pomogło.

Pociski rzucane w ciemności nie trafiały, pies zdawał się wiedzieć o tem.

Nie było rady. Obejrzał się instynktownie czy go kto nie widzi i... zatkał sobie uszy. Wycia takiego nie słyszał dotąd. Nie wiedział, gdzie leżała groza tego głosu... mroziło to jednak serce.

Stał tak i czekał.

Pierwszy raz w życiu cierpiał, cierpiał dotkliwie z powodu takiej blachostki.

Naokół czarno było już całkiem. Światło na oddali śmiło się, żarzyło się już tylko, znacząc linię dzielącą ziemię od horyzontu. Na czerni tej rysował się pies, jak duch.

Nagle głos urwał się, prysnął jak struna instrumentu, przepadł, jakby psa pochłonęła nagle rozstępująca się pod nogami ziemia.

Już nie było plamy białej... wokół cisza tylko i czerń niezglębiona z małym paskiem rudawej poświaty tam na lewo.

Odetchnął z uczuciem ulgi i właśnie chciał się oprzeć wygodniej o ścianę, gdy nagle serce jego bić przestało. Zmartwiał, zakrzepł... oczu od ziemi oderwać nie mogąc.

Z bezdni nocy podniosło się coś i szło ku chałupie.

Białawe, jak opar, wlokac się wolno, jak znużony drogą daleką człowiek, lazło na uginających się nogach, a ręce wyciągnęło ku żołnierzowi...

Ostatnim wysiłkiem rozwarł usta i wydał krzyk przeimuiący, potem padł zemdłony.

Gdy znowu otwarł oczy uirzał nad sobą czapkę żołnierską, i sterczący za nią bagnet.

Zmieniano wartę. Kapral mówił coś do niego... groził jakąś kara... nie rozumiał. Przed oczyma miał ciągle owo coś białego, co doń szło z czarnego tła nocu. Instynktownie wykonał tylko przepisane regulami-

nem ruchy i poszedł za kapralem ku kwaterze. Ani na chwilę nie znikало mu z przed oczu widzenie. Szedł, a chwilami zdawało mu się, że idzie właśnie ku temu czemuś nieznanemu... czemuś, co straszne jest, a jednak pociąga, wabi...

— Przyszła poczta — rzekł wreszcie kapral-ga-
duła, którego gniew przeminął, utonął rzec można
w tym opornym milczeniu towarzysza. — Masz list!

— Co? — zdziwił się nareszcie. Odetchnął głęboko,
raz, drugi, a potem spytał:

— A nie przeczytaliście tam od kogo ten list?

— Nie wiem... nie moja rzecz! — rzekł wyniośle, i do-
dał po chwili: — Jakaś Feldpost, ale zapomniałem jaka...

Żołnierz rozwarł szeroko oczy... Szedł przez czas ja-
kiś w milczeniu, automatycznie. Nagle uczuł, że z ocz
jego zaczynają padać łzy. Nie wiedział, że płacze, czuł
jeno nieprzyjemne zimno tych łez na twarzy, ale odrę-
twienie w jakie zapadł, nie pozwoliło mu podnieść ręki.
Szli obaj w milczeniu przez chwilę. Nagle kapral za-
czął coś opowiadać. Udobruchał się już.

Ale kroczący za nim nie słyszał nic. Co kilka kroków
stawał, obcierał się za siebie, potem zaczynał stawiać
kroki wielkie, skakał niemal, by dopędzić idącego przod-
dem, a w duszy słyszał szept cichy, straszny, ciągły:

— To był on... Tak... to był on... on... on...

Z NIEDAWNYCH DZIEJÓW BUŁGARJI

„Wyzwolenie słowiańskiej Bułgarii z pod jarzma tu-
reckiego“, oto pretekst, pod którym Rosya wszczęła
przeciw Turcyi krwawą wojnę 1877, którą, wbrew nieu-
dolności swych jenerałów, wkońcu wygrała, dzięki po-
mocy rumuńskiej. Ale był to od początku cyniczny pre-
tekst; nie chodziło o to, żeby Bułgaria była wolną, tyl-
ko, żeby zamiast Turka, Moskał był jej panem. Wdzię-
czni za „oswobodzenie“ Bułgarzy zrazu godzili się na
wszystko. Uchwalili konstytucyę przez Rosyę dyktowa-
ną, pozornie demokratyczną, ale w rzeczywistości
wprost obliczoną na ułatwienie zamachów stanu; na
księcia wybrali carskiego krewniaka, przez cara im
wskazanego. I oto po niespełna trzech latach młody,
niedoświadczony książę, otrzymawszy dwóch jenerałów
rosyjskich za mentorów, przeprowadza wybory po ro-
syjsku, znosi konstytucyę i wprowadza rządu absoluty-
styczne — jak się wnet z bólem przekonać musiał, nie
swoje, lecz moskiewskich jenerałów, którzy się nad nim
taksamo brutalnie panoszyli, jak nad narodem bułgar-
skim. Po dalszych dwóch latach wszyscy mieli dość
tych dobrodziejstw. Wszystkie stronnictwa bułgarskie
porozumiały się między sobą i z księciem; zwołano
sejm i przywrócono swobody konstytucyjne. Klnąc i lżąc
posłów w ordynarny sposób, jenerałowie rosyjscy opu-
ścili izbę sejmową, rozbrzmiewającą od radosnych
okrzyków, i wyjechali z kraju.

To było w 1883 roku. Niedługo potem Rosya ponow-
nie w złowrogi sposób wtrąciła się do spraw „braci Słow-
wian“ bułgarskich. Książę Aleksander, zżywszy się
z narodem, zgodnie z wolą jego przyłączył do księstwa
słoneczną i żyzną krainę na południowych stokach Bal-
kanu położoną, którą pomimo, że stanowiła niewątpli-
wą część bułgarskiej ojczyzny, kongres berliński 1878 r.
pozostawił był jako autonomiczną prowincyę, zwaną
„Rumelią wschodnią“, pod zwierzchnictwem tureckiem,
a która przeciw temu zwierzchnictwu się zbuntowała.
Za ten słuszny czyn popadł w niełaskę u cara. Kiedy
król serbski w niedorzecznej zawiści ogłosił wcielenie
Rumelii wschodniej za naruszenie równowagi i wypo-
wiedzial Bułgarię wojnę, dzielne wojsko bułgarskie,
z walecznym księciem na czele, dziwnie szybko upokor-
zyło napastnika. Wobec tego dowodu siły, Europa go-
towa była przebaczyć księciu Aleksandrowi, że słuszne
żądanie narodu, pragnącego zjednoczenia, wyżej cenil
niż martwą literę traktatu berlińskiego. Ale nie prze-
baczył car; Bułgarię, pozostającej pod rosyjskiem jarz-

mem byłby chętnie dopomógł do rozszerzenia granic,
ale samodzielnej Bułgarii nie chciał widzieć silną. Car-
scy ajenci uknuli spisek; zwycięski książę został por-
wany i wywieziony z kraju. Naród bułgarski natych-
miast obalił rządu spiskowców i powołał Aleksandra
napowrót, ale książę, znużony tylu przejściami, rzekł
się korony.

Car dalej prześladował Bułgarię swym gniewem; za-
den książę europejski, utrzymujący jakiegokolwiek sto-
sunki z carskim dworem, nie śmiał przyjąć korony buł-
garskiej. Nareszcie Stambułow, ów energiczny polityk
bułgarski, który po odjeździe Aleksandra tymczasowo
rządził krajem, odnalazł kandydata, którego nic nie wią-
zało z Rosyą, a natomiast dużo z Austryą. Tak się wład-
cą Bułgarii stał książę Ferdynand Koburski, ten sam,
który w późniejszym czasie uczynił Bułgarię niezawis-
łym królestwem i rozszerzył ją po morze Egejskie.

Ileż to razy jeszcze, od wstąpienia na tron Ferdynan-
da w 1887 r. aż do chwili obecnej, Rosya była złym du-
chem Bułgarii! Podszczywała spiskowców, najmowała
morderców; w Sofii, idąc ulicą przy boku Stambułowa,
minister Belczow padł zabity kulą dla Stambułowa
przeznaczoną. A dwa lata temu, kiedy Bułgaria na czele
Związku bałkańskiego pokonała Turcyę i przyłączyła
do swoich dzierzaw wszystkie ziemie przez Bułgarów
zaludnione, Rosya podszczyła przeciw niej jej własnych
sprzymierzeńców, szczególnie Serbię, która w niczem
nie usprawiedliwionej zachłanności ograbiła wczoraj-
szą towarzyszkę walki, zabierając jej Macedonię. Rosya
wówczas nie czuła żadnej słowiańskiej sympatyj dla
nieszczęśliwych Bułgarów; z zimną złośliwością się
przypatrywała, jak na naród wyczerpany bohaterską
walką jednocześnie napadli i wczorajsi wrogowie
i wczorajsi sprzymierzeńcy, i neutralna Rumunia, szar-
piąc Bułgarię z czterech stron, tak, że po tylu walkach
i ofiarach, Bułgaria nie ocalała dla siebie nawet do-
brego portu nad morzem Egejskiem, nawet ujścia do
morza największej z rodzimych swych rzek, Marycy.
Dopiero w roku bieżącym Bułgaria drogą przyjaznej
umowy z Turcyą odzyskała część, coprawda nader
ważną część ziem, utraconych podczas owoych tragi-
cznych dni; dopiero obecnie orężnym bojem odbiera re-
szczę. Po tylu złych doświadczeniach, dawna, naiwna
sympatya Bułgarów dla Rosyi nareszcie całkiem wyga-
sła. Samolubstwem, brutalnością i perfidyą wychowała
sobie Rosya słowiański naród Bułgarów na wroga. G.

EMMA ROSZYŃCÓWNA: IGRASZKI PANA.

Ciąg dalszy.

— I nigdy nie zapomnę. Każdy szczegół z tego wieczora mam jakby wypalony w mózgu. Odrysowałbym ci nawet z pamięci renesansowy deseń koronki na twojem lewym ramieniu. Jeżeli chcesz, narysuję go zaraz tu na piasku... Pamiętam także, że Stefan znikł wtedy z teatru przed końcem widowiska i powrócił do hotelu aż rano, pijany po raz pierwszy w życiu. Widzisz, jak pamiętam każdą drobnostkę...

Ręka Krystyny złożona na ręce Rafaela, drgnęła lekko. Rafael wytłumaczył sobie to drgnięcie na swoją korzyść.

— Owego wieczora pokochałem ciebie... Nie, zrozumiałem, że ciebie kocham, bo pokochałem ciebie od pierwszego dnia, gdyś do domu naszego cała w kirach przybyła. Cztery lata już kocham ciebie, kuzynko...

Panna Krystyna słuchała uważnie z oczyma utkwionymi nieruchomo w błękitne przestwory ponad głową chłopca, jak gdyby uwiesiła się wzrokiem w jakiejś jedynej, wypisanej tam i dla niej tylko widzialnej myśli.

— Czy tylko mnie jedną pokochałeś wtedy, Rafaelu? Czy raczej pewny jesteś, że to mnie wtedy pokochałeś?

— Co przez to myślisz kuzynko? Kocham tylko ciebie jedną. Przysięgam ci, że nigdy myśl o innej kobiecie...

Przerwała mu niecierpliwym gestem. Myśl wypisana na błękitnie jasna i wyraźna, stała się teraz zupełnie nieczytelną. Zeszli oboje na bezdroża, a raczej ona obrała fałszywą ścieżkę i wciągnęła na nią chłopca. Co czynić jej teraz? Wracać się, czy iść naprzód przebojem?... Jakie te nasturcyje jaskrawe... Gdy patrzy się na nie, tak oświecone słońcem, bołą ją oczy, jak gdyby się przez dłuższy czas wpatrywała w płomienie. Co jej czynić?...

— Czy wiesz Rafaelu, że to białe widmo, które wtedy oglądałeś niby August ducha Barbary, wstało znowu? Ale tym razem wstało nie na scenie, przy blasku kinietów, tylko w dzień jasny...

Zaczęła mówić patetycznymi, niezwykłymi u niej okresami. Chłopak słuchał i upajał się do nieprzytomności słowami, które wychodziły z ust ukochanej, podobne do białych gołębi, czerwonych róż, czarnych motyli i pereł, i układały się przed jego oczyma na płomiennem tle klombu nasturcyi w cudowny wzór. W niezrównany, królewski wzór. Były w nim szczytki starych, popękanych koron, rycerskie miecze, orle pióra, jaśniały w tym wzorze smutne oczy Barbary, z blasku do czarnych pereł podobne i wszystkie perły, któremi obwiesił ją, niby obraz cudowny, mąż kochający, snuły się po nim długie włosy jeszcze nieszczęśliwszej od niej królowny andegaweńskiej... Chłopak patrzył się w Krystynę, jak w tęczę i nie zauważył niesmaku, który czaił się, niby rozgryzione ziarnka gorczycy, w kącikach jej mądrych ust.

Potem Krystynie czy tchu zabrakło, czy jako nieprawna aktorka wypadła z roli, dość, że mówiła coraz to krótszemi zdaniem, coraz mniej okraszała te zdania pięknymi słowami. W miarę tego gasł zachwyt w oczach chłopca.

— Co mówię?! To nie widmo wstało. To wstał żywy człowiek. Taki sam żywy, jak ja i ty. Jak ja i ty jedzący chleb i pijący wodę. Jak ja i ty potrzebujący powietrza, wolnego Bożego powietrza do oddychania, bo się inaczej udusi. Nie zatęchłego, piwnicznego powietrza Rosyi... Rafaelu, ty jesteś także kroplą krwi w or-

ganiźmie tego człowieka, kością jego kości... Tobie nie wolno stać na uboczu z założonemi rękoma, gdy inni pracują. Serce mi się ściska, gdy patrzę, jak ci wysysa mózg i serce ten sam wąż, który podgryzł u korzenia moje życie. Wyrwij się... Dla mnie może jest zapóźno.

Z okien buduaru dochodził już tylko cichy szloch. Snadź burza, zmieniawszy się w ulewę lez przechodziła.

— Co mam uczynić, kuzynko?

— To, co twój brat starszy. Zaciągnąć się do Legionów. Czyn, jakikolwiek czyn, uleczy ciebie.

Chłopak popatrzył na nią z chłodnym zdziwieniem.

— Mama nigdy na to mi nie pozwoli, kuzynko. Nie mogę tak martwić mamy. Już Stefan przysporzył jej dość zmartwienia.

Krystyna obrywała z trzymanej w rękę nasturcyi płatek po płatku. Oberwawszy wszystkie, cisnęła je gwałtownie na ziemię i wstała.

— Słuchaj, mówiłeś przed chwilą, że mnie kochasz. Może doprawdy mnie kochasz. Bóg jeden wie, czy dobrze robię, że ci to mówię. Za dziecko ciebie dzisiaj niepodobna uważać. Kto tylko zdoła karabin udźwignąć, ten dorosły mężczyzna. To wiedz, że się brzydzę tchórzami, jak robactwem!

Odeszła, nie oglądając się na chłopca, który siedział z bezwładnie opuszczonemi rękoma, tępo wpatrzony w klomb nasturcyi i w czarne motyle. Dwa z nich usiadły na ognistych kwiatach, jeden na czarnych skrzydłach poleciał dalej.

Przy kolacyi, tej właśnie, z powodu której kuchcik Jędrus omal się nie utopił w stawie, Rafael siedział zamysłony, jakby nie widział, co się wokoło niego dzieje. Zamyślenie swoje posunął do tego stopnia, iż zjadł aż dwie łyżki czarnego sosu, w którym pływały spalone kuropatwy i uprzejście podsunął półmisek Krystynie, zapewniając ją, że sos jest wyborny.

Bomba wybuchała aż po kolacyi. Chłopak leżał już w łóżku, z obłożonemi, jak zwykle, plasterkami cytryny skroniami. Pani Lula siedziała na krześle przy łóżku i słodziła filiżankę jakichś ziółek, niezawodnego leku na niedyspozycję żołądka, która czekała niechybnie Rafaela po spożyciu owych dwu łyżek Jędrusiowego sosu.

Nagle chłopak porwał się z poduszek gwałtownie, aż plasterki cytryny posypały się z jego skroni na środek pokoju i oświadczył, że chce iść do wojska. Filiżanka ziółek spadła z brzękiem na posadzkę, pani Lula dostała po raz drugi tego dnia nerwowych spazmów, tym razem płaczących i śmiejących. Chłopak przeklećcał całą noc u łóżka matki, całując ją po rękach i nogach. Stefan z kuchcikiem odjechali tejże samej nocy. Panna Krystyna przy pożegnaniu przyrzekła mu, że nie odstąpi jego ojcowizny, w którą włożył tyle pracy i trudu i będzie jej broniła własnymi piersiami od zniszczenia. Pani Lula dostała jeszcze jednego ataku nerwowego, tym razem z powodu ucieczki kuchcika. Kiedy trzeciego dnia wstała, nie było już ani wzmianki o niefortunnym zamiarze Rafaela. Panna Krystyna nie wspominała o tem także. Wogóle postępowała z chłopcem, jak gdyby nigdy miejsca nie miała między nimi rozmowa w ogrodzie przy klombie nasturcyi.

Potem kraj zalały nieprzyjacielskie wojska. Nie sposób było się dowiedzieć, czy Stefan żyje, czy zginął. Lubieniecki dwór zamienił się jakby w obóz rosyjski. Warszawianie, Litwini, Kozacy, czerkiescy górale, w swych rozwianych mantylach do czarnych orłów

w locie podobni, Ormianie, Tatarzy, którzy na ziemi z podwiniętymi pod siebie nogami siadali i modlili się do zapalonych świeczek, Kałmucy, Jakuci, wszystko to zmieniało się jak na przedstawieniu w szopce. Jedni odchodzili, drudzy przychodzili. Nadeszła zima. Odległy huk armat stał się pospolitszy, niżli szelest spadającego śniegu. Panna Krystyna pilnowała ojcowizny Stefana, jak najdroższego skarbu. Własnymi rękoma wydierała sałdatom każdą zabraną garść słomy czy siana, własną suknią zasłaniała każdą krowę. Pani Lula siedziała w swoim buduarze zamknięta na cztery spusty i zastawiona jeszcze dla bezpieczeństwa biurkiem i bujającym fotelem — i z rzadka tylko, w nadzwyczajnych wypadkach i okolicznościach dopuszczała co starszych oficerów do oglądania swego oblicza.

Przed miesiącem niespełna zatrzymało się przejazdem w lubienieckim dworze jakieś tatarskie książątko, ponoć potomek władającego niegdyś całym Krymem rodu. Pani Lula, zwabiona egzotycznością przygodnego gościa, odważyła się wychylić z buduaru do salonu. Egzotyczne książątko było młode, drobne, popielisto-śniate i wcale, mimo swych mongolskich rysów przystojne. Mówiło biegle po francusku i trochę z dziwacznym akcentem po niemiecku, i niczem nie zdradzało, że dziadowie jego żywili się surowem końskim mięsem i nadsiewali na spisy ucięte głowy dziadów pani Luli. Pani Lula odważyła się przejść z salonu do jadalni i usiąść w towarzystwie księcia do śniadania. Podano kotlety z drobiu, jedyną mięsną potrawę, którą kulawy Feliks, następca niegodnego Jędrka, umiał jako tako przyrządzić, i kompoty. Tatarski książę schylił się, sięgnął do cholewy swego buta i wydobyl z niej wcale pokazną srebrną łyżkę. Pani domu zdrętwiała. Kawalek kotleta, który właśnie do ust poniosła, stanął jej w gardle, niby kość wilkowi z bajki. Biedny Rafael zaczerwienił się po uszy i wypatrywał czegoś uparcie na dnie pustego talerza. Tatarski książę zauważył wytrzeszczone oczy pani domu i rumieńce u jej syna, i trzepnął się głośno ręką po prawej a potem po lewej cholewie.

— Pachodnyj mój bufet — uśmiechnął się dobrodusznie — a to pachodna moja kancelarya...

Panna Krystyna, która pod pretekstem odwiedzin chorej wieśniaczki wymówiła się od wspólnego śniadania i wyjmowała właśnie z bufetu potrzebne jej dla chorej wino, przybliżyła się z czarującą swobodą wielkiej damy, zajrzała do „pachodnej kancelaryi“ jego książęcej mości. Z cholewy wyzierał notes z ołówkiem, duży plik papieru, talia kart i, zdaje się, gęsie pióro oraz spora flaszka atramentu.

Pani Lula od owego czasu nie byłaby dała namówić się do oglądania choćby nawet samej Jego Cesarskiej Wysokości Mikołaja Mikołajewicza.

Dopiero we dwa dni po odjeździe tatarskiego gościa i po dokładnem przewietrzeniu pokojów, które zajmował, pani Pomianowska odważyła się wyrzucić ze swego buduaru. Oboje z Rafaelem zeszli do ogrodu. Ranek był marcowy, chłodny i zamglony, i do przechadzek wcale niesposobny. Na ścieżkach gniły zeszłoroczne, z błotem i ziemią zmieszane liście. Od białych na tle siwego nieba gór, szły dnia tego głośniejsze, niż zazwyczaj, pomruki działa. Ogromne, opasłe kruki, których nigdy dawniej w tych stronach widać nie było, siedziały na czarnych, ociekających kroplami wilgoci gałęziach drzew i odzywały się jeden do drugiego swoim nosowym głosem, który byłby śmieszny, gdyby nie był strasznym.

Pani Lula, zdenerwowana, powróciła czemprędzej do dworu. Przechodząc obok odchylonych drzwi kuchni,

zajrzała do środka. Kulawy Feliks, rozgniatając oboma kulakami na czole krople potu, który mu oczy zalewał, przygotowywał właśnie szarlotkę z jabłek, ulubioną leguminę Rafaela. W kącie, na wiązce chrustu, siedział brodaty sałdat i żuł obierzyny z jabłek. Jasna pani weszła i w nadzwyczajnej swojej troskliwości zaglądnęła do pieca, w który Feliks miał wstawić leguminę, by się przekonać, czy piec dobrze ogrzany. W tej chwili rozległ się straszny huk. W piecu pękła bomba czy granat. Coś gorącego, pachnącego przypieczonem mięsem i łojem oblało twarz, ręce i suknię jasnej pani. Jasna pani zemdląła. Okazało się później, że to brodaty sałdat przegrzewał sobie w piecu puszkę konserw mięsnych i głupi, jak zwykle sałdat, zapomniał ją otworzyć.

Pani Lula kazała wołać do siebie praporszczyka i komendanta. Darmo zapłakany Iwanow całował ją po rękach i nogach, darmo bił się w piersi i powtarzał szlochając: jam winowat!... jam winowat! Komendant, który dnia tego był w złym humorze, głosował za powieszeniem winnego. Praporszczyk, ten właśnie zakochany po uszy w hrabiance Krysi, nie był także od tego. Dopiero wmięszanie się hrabianki Krystyny do posiedzenia wojennego sądu złagodziło trochę wyrok: Iwanow został skazany na dwudziesto-cztery godzinne stanie w pełnym rynsztlunku w kącie podwórza, koło gołębnika.

Pani Lula po wybuchu puszkę z konserwami zapowiedziała uroczyście, że ani chwili dłużej nie pozostanie we dworze. Wyjedzie do stolicy kraju, gdzie obecność wyższych dostojników rosyjskich da jej rękojmię bezpieczeństwa przed zamachami głupich sałdatów na jej życie, a przynajmniej należytego ich ukarania. Hrabiance Krystynie dostały się przytem mnogie wyrzuty i złośliwe przytyki, że to ona właściwie, przez swe głupie przyrzeczenie Stefanowi pilnowania jego własności, była główną przyczyną pozostania pani Łabędź-Pomianowskiej na niebezpiecznym terenie operacji wojennych. Panna Krysia odwozła ciotkę do Lwowa i lada dzień miała powrócić do Lubieniec z jakąś krewną, starą panną, zabraną po drodze. Po jej powrocie Rafael Pomianowski, który, uproszony przez pannę, został pilnować Stefanowego dobra, miał się udać do matki. Chłopak, pozostawszy sam, całe dni przepędzał na bezczynnem snuciu się po pokojach, na marzeniach o nieobecnej kuzynce i czytaniu Szekspira. Moskale i chłopci tymczasem złupili połowę lasu. Praporszczyk po odjeździe hrabianki chodził zgoła nieprzytomny, komendant, jak zwykle, zapijał się, a naczelnik powiatu, do którego Rafał udał się ze skargą, kazał mu złapać i przyprowadzić do siebie winowajców.

I ten ranek upływał Rafaelowi nad książką. Chłopiec odgarnął sobie z twarzy jasne i jedwabiste, z lekka wijące się pasma włosów, które mu spadały aż na koronkowy kołnierz domowej kurtki z czarnego aksamitu, delikatną jak u dziewczyny dłonią osłonił sobie oczy od słonecznego światła, odwrócił parę kartek i czytał półgłosem:

Ona ma naturę Dyany:

Pod twardą zbroją wstydlivosti swojej
Grotów miłości wcale się nie boi;
Bogata w wdzięki, w tem jedynie biedna,
Że kiedy umrze, do grobu z nią zstąpi
Całe bogactwo, którego tak skąpi.

„Ona ma naturę Dyany...“ Chłopak podniósł głowę, oparł brodę na rękę i wpatrzył się w miejsce, gdzie na kawałku zgrabnie udraperyowanej, starej materyi lionskiej na ornaty, wisiał owalny portrecik panny Krystyny.

Na parapecie okna, cała, z dziewięciu członków złożona, wróbla rodzina, kąpała się w słonecznym blasku. Nerwowe wróbliczki, pluskając się, wrzeszczały, jak najęte.

„Ona ma naturę Dyany...” — Ona cała do Dyany podobna: regularny profil, matowa ciemna pleć, jasne, jaśniejsze od skóry na twarzy włosy, splecione w węzeł na karku i przepasane przez wierzch głowy i popod węzeł szeroką czarną aksamitką... Aksamitka ta nadawała głowie panny Krystyny trochę podobieństwa do płasko-rzeźbionych w kości słoniowej głów antycznych kobiet, a trochę wyglądała, jak czarna obręcz smutku, włożona dobrowolnie własną ręką na młodą głowę.

Tamta, podobna do Dyany, nazywała się Rozalina, ta nazywa się Krystyna. Obiedwie są rodzonymi siostrami, jakkolwiek tamta żyła przed kilkuset laty w Weronie, a ta żyje w lubienieckim dworze. I ta, jak tamta, przysięgła nikogo nie kochać. Rozalina, ta „błada sekutnica Rozalina”, tak samo męczyła bezlitośnie nieszczęsnego Romea, jak dzisiaj Krystyna męczy Rafała. Tak samo zapewne wiązała sobie nad czołem aksamitki, niby czarną obręcz samolubnego smutku.

Chłopiec westchnął. Pochylił znowu swą piękną głowę zamyślonego cherubina nad książką i czytał dalej:

Zbyt ona piękna, zbyt mądra zarazem,
Zbyt mądrze piękna: stąd jest istnym głazem.
Przysięgła nigdy nie kochać, i dzięki
Temu, skazanym wieczne cierpieć męki.

W otwartym oknie, między liśćmi filodendrona pokażała się owcza twarz starej kobiety.

— Paniczu, znowu w las poszli — szepnęła tajemniczo.

Panicz popatrzał w okno nieprzytomnie od zacytowania oczyma. Twarz starej kobiety między płaskimi liśćmi wyglądała zupełnie jak starożytna groteskowa maska, zawieszona na wstążkach na gałęzi drzewa, a wszystko: maska, filodendron i okienna rama, wyglądało, jak tytułowa karta do tragedii, którą czytał. Co mówi do niego ta stara Pytia? Kto poszedł do lasu: Krystyna, Rozalina z Romeem czy Szekspir, czy może wszyscy troje: Rozalina, Romeo i Szekspir razem?

— Poszli paniczu wszyscy trzej... Na własne oczy widziałam, jak szli... Mnie starą potyrali i poszli. Będą znowu drwa kradli...

— Kto drzewo kradnie? Co ty pleciesz kobieto?! Czyś zwaryowała?!

— Cicho, nie złościę się paniczu... Toć ani wy, ani ja nie będziemy drew kradli, jeno ta kara Boska — Moskale. Trzech ich poszło... Ten brodaty, ten Turek z długim, jak bocian nosem i ten trzeci, co go Pan Bóg podwójną miarą z przyczynkiem mierzył, zanim na świat wypuścił. Weźcie sobie czapkę na uszy i dalejże w las za nimi! Dziś ich złapiecie napewno. Leśnik Kuzio, jak mu nakazano, od Lisiej strony pilnuje, wy zajdziecie ode wsi i połapiecie wszystkich, niby raki do saka. Jeno spieszcie się, paniczu...

Chłopiec z zalem popatrzał na rozłożoną książkę. Słońce właśnie położyło na niej całe swoje okrągłe oblicze, odbite od szyby otwartego okna i kartki książki jaśniały, jak gdyby były ze srebra, a czarne drobne litery, każda z osobna, miały dokoła siebie tęczową obwódkę.

— Jeżeli ich złapiecie, paniczu, panna Krystyna okrutnie wam rada będzie...

— Pójde! — zamknął chłopak gwałtownie książkę i porwał się z krzesła. Od progu wrócił się jeszcze i położył z powrotem na stoliku zabrany machinalnie ze sobą tom Szekspira.

By nie zwracać zbytnej uwagi i nie spłoszyć przed czasem złodziejów, nie szedł główną drogą, tylko obszedł dwór dokoła i poszedł ścieżką przez pola. Ścieżka była pełna kałuż wody, błota i grud rozmiękłych, czepiających się obuwia przechodnia z dziwnym uporem rzeczy leniwych, martwych, chcących podróżować cudzym kosztem. Rafael szedł powoli, z oczyma utkwionemi w ziemię, starannie omijając kałuże i przeskakując co większe grudy. Po kilkunastu takich krokach dał za wygraną. Wiosenne niebo w górze, tam nad jego głową, było niemniej piękne i zajmujące jak dzieje Rozaliny i Romea. Zdradliwy czar błękitów począł działać na wrażliwą duszę chłopca. Zapewne takim samym czarem, zalotnym i chwytającym za serce, a chłodnym tchnąc niegdyś musiała błada twarz Rozaliny. Rafael coraz wyżej zadzierał głowę i zapomniał powoli po co właściwie wyszedł z domu. Szedł teraz jeszcze wolniej, niż przedtem, a trzewiki jego z każdym krokiem przybierały objętości i stawały się coraz podobniejsze do owych siedmiomilowych butów z bajki.

Ciąg dalszy nastąpi.

KRWAWE LIŚCIE.

Przedranny szron, przedranny mróz
na rżysku skrzy srebrzyście —
pod czarny krzyż z przydrożnych brzoź
padają krwawe liście.

O serce młode! wiem, już wiem...
krzyż patrzy w dal żałosną —
tu młoda krew spaliła ziem
i krwawe liście rosą.

Antoni Waśkowski.



P R Z E G L Ą D.

Z TEATRU.

Sabatino Lopez, włoch o starohiszpańskim nazwisku, był w pierw zastępcą nauczyciela gimnazjalnego bez kwalifikacyi, nim zaawansował na cenionego wzmiankarza w którymś z rzymskich kuryerków. Ten zarys rozwoju, w Galicyi nazbyt dobrze znajomy, nie bywa rekomendacją osobliwie zalecającą; nie zdradzałbym go więc na wstępie, gdyby nie uczynił tego sam autor, dwa lata temu w komedyi o „brzydkim Ferrancie“ odstaniając ten rodzaj dorobkiewiczowskiego sceptycyzmu, a jaskrawej pogoni za sensacją, który znamionuje przeszłość tamtego typu. Było to więc „odkrycie“ psychologiczne: brzydki człowiek w roli uwodziciela; maską tersytejską usypiał czujność męża, a w braku wdzięków cielesnych rozwijał taką batalię przymiotów umysłu i serca, że pobijał nią na głowę pięknego współzawodnika. Sens moralny: konwersacya jest alfą i omegą bytu. Ludzie ci, zdecydowani porci de grege Epicuri w poprawnych mniejwięcej smokingsach, rozprawiali o derby, psychologii kobiet, tir aux pigeons i baccaracie, nicowali na wywrót sędziwe zasady moralności i zdrowego sensu, słowem podrabiali bez większego powodzenia dandyowską atmosferę salonu Oscara Wilde'a, która w oryginalnie niezawsze jest interesującą, a w naśladownictwie mało udołnem dopiero staje się zgola trudną do zniesienia. Hrabia Alciati, w którego zabójczo wytworne znanstwo życia musimy wierzyć na słowo autora, zaryzykował aforyzm: „kompromitacya dodaje smaku, jest jak trufla w gospodarskiej pieczeni“. Znaczy to, że poczciwy w gruncie serca autor radby chudą, w drugorzędnej jadłodajni literackiej uwarzoną strawę swego żywota przyprawić co najmłodniejszym smaczkiem nihilizmu etycznego, panestetycznego hedonizmu, jednym słowem skeptycznym ekstraktem przewartościowanych, że tak powiem, wartości; niestety nie trzeba być aż Brillat-Savarinem, by poznać po zapachu, że trufle te nie z Périgord pochodzą, lecz z węgierskiej garkuchni Franza Molnara, którego mocno paprykowane konserwy duszoznawcze nader cenione bywają w sferze początkujących badaczy sfinksowo-demonicznej jaźni kobiecej. Wiem, jaką przykrość sprawię Sabatino Lopezowi, wywodząc mu filogenezę nie z Paryża, a z Budapesztu, zwłaszcza dziś, gdy ojczyzna jego zaświadczyła wobec świata wierną przynależność do centrów kultury zachodu. Niechże mu będzie pociechą, że pokąd korespondent wojenny Az-est'u wraz z p. Roda-Rodą przelewają krew za ojczyznę w głównej kwaterze prasowej, jemu zostaje na czas ten niepodzielne władztwo w dziedzinie nobliwego frazesowania i „paradoksalnej“ psychologii z hotelu, domu zdrojowego i plaży w Viareggio.

Nie znam komedyi tegoż autora „Biedna dziewczyna“, odegranej w warszawskich „Rozmaitościach“ dwa sezony temu; ale „Trzeci mąż“ utrwała mi na ogół bez zmian powyższą sylwetę. Nowiną jest tu jedynie ta szczypta krytyki społecznej, demaskującej obłudę opinii, która potępi skwapliwie śmieszna niewłaściwość, niemoralną potworność trzeciego małżeństwa, ale rozgrzeszy usłudzie tęsamą praktykę w granicach wolnej miłości. Obserwacya ta, bezsprzecznie świeża, mogłaby stać się mięszem kompozycyi wyższego rzędu, gdyby była traktowana komedyyowo, to znaczy toczyła się koleją upowodowanej akcyi, a nie zjawiała nakońcu niespodzianie, jak pointa fejletonu, rozłożonego na trzy akty. Śmieszne, a fatalnie wszechmocne kryteria, które są źródłem nieporozumień między prawem życia p. Katarzyny a solidarnym egoizmem rodziny jej pierwszych mężów, zapadają głęboko w pokłady myślowych i obyczajowych

wych nałogów sfer, normujących przesady opinii; jest to prawie że konflikt konwencyjonalnej moralności z prawdą etyki i takim go widzi nieraz bazylijskowie spojrzenie Bernarda Shaw'a. Sabatino Lopez z nonszalancyą do niczego nie obowiązującą konstatuje fakt godny zadumy, jeśli nie oburzenia, i zachowaniem tem stwierdza raz jeszcze, że zrobił wszystko, co jest w jego mocy, aby przyswoić sobie dobre maniery i pobleżliwie ironiczny takt sfer, hołdujących światopoglądowi podfilipskiemu, opartemu na orientacyi nietylke kefalo, co falo- i omfalo-centrycznej. Poza tem sztuka ma chwilami dużo życia, więc może być miłą rozrywką jednego wieczoru, byleby nie brać na seryo jej wytwornych pretensyj, narzucającej się paradoksalności, a zwłaszcza satyry obyczajowej.

Grano dobrze. Pani Bednarzewska miała szczęśliwy wieczór: zabłysła jak feniks z popiołów minionej młodości, ludząc partnera i widownię refleksami wdzięku, dowcipu i ponęty. Pan Leszczyński był aż nad miarę swobodnym, rozśmieszając zarówno współgrających, jak audytorium. Pan Żarski udowodnił, że stereotypowe jego gesty albo raczej chwytły czy ciosy rąk oraz uporcezywie detailiczna, zawsze współrzedna skanzya wyrazów stają się mniej dolegliwe w charakteryzacyi sześćdziesięcioletniej. Rezolutnie prowadziła dyalog p. Kamińska.

W poniedziałek za to zamieniła się ta sala na godzin kilka w przybytek narodowego nabożeństwa. Pierwszy to raz od lat ośmdziesięciu pięciu — tłumaczył nastrój wieczoru Stanisław Smolka — obchodziła Polska tę rocznicę bez utajonego wyrzutu, że ofiarny zapal belwederczyków, mierząc siły na zamiary, wraz z szopą na Solcu spalił nadzieję w możliwość zgodnego z Rosyą współżycia. Przesąd ten spopielał dziś dopiero do szczytu; próby wojny światowej było trzeba, aby dowieść nareszcie, że głos powstania listopadowego, protestujący: „nie tamtędy droga!“, nie hazardem był serca, oszalałego rozpaczą, ale nakazem sumienia widzącego jasno, jak trzeźwa rachuba polityczna: ta, co liczy nie na metę jednodniową, lecz wnioskuje z dziewięciu wieków, spędzonych na warcie zachodniego świata przez naród, który historycznej roli kresowego rycerza nie sprzeda za trzydzieści srebrników. To, co następowało w tym świetnym wykładzie: ocena działań wojennych, których tragizm leżał w kunktatorskim nastroju wodzów, zapatrzonym w miraż dyplomatycznej interwencji mocarstw, a po zwycięstwa sięgającym, jak po atuty w grze upragnionych układów z carem; pierwszy raz w tej formie wygłoszona apologia emigracyi, która naród, leniwo przejmujący dotychczasas kulturę Europy, związała z zachodem na zawsze i nierozdzielnie, kresowego rycerza uczyniła obywatelem Europy, a cywilizacyą zachodu stalowo opancerzyła go przeciw inwazyi bizantynizmu, ożenionego z mongolską hordą; ocena klęsk popowstaniowych jako sił, które skuteczniej od starych pergaminów spoiły Koronę z Litwą unią cierpienia; wreszcie końcowy apel, w którym nestor historyków polskich, więcej niż ktokolwiek inny powołany dziś na pośrednika pokoleń, dostojnym słowem przestrogi i ufającym wbrew nadziei błogostawieństwem myśliciela krzyżował i wiązał ponad przepaście klęsk i rozczarowań, w temsamem wiernem ślubowaniu giwery pobitych bohaterów Ostrołęki z zwycięskimi karabinami piłsudczyków — wszystko to brzmiało, jak zaklęcia guślarza, w których ten tłum, w zbożnem skupieniu zebrany na „dziady“ narodowe, wzywał duchy przodków i spowiadał im się z uwielbienia i tęsknoty, lęku i nadziei. Cokolwiek nastąpiło później: niepokalana żałość pieśni Karłowicza czy bezradna skarga

żołnierskiej piosenki, liryczne szczyty wierszy Słowackiego czy orficzny patos norwidowy — wszystko na swój sposób bratało w wiekowym poczuciu krzywdy i nieugiętej woli życia umarłych z żywymi, a choć nierówny bywał artystyczny wyraz wykonania, jedno brzmiało ponad wszelką wątpliwość wyraźnie: oto gdy wskrzeszał raz jeszcze ów przedziwny Wyspiańskiego sen o tej nocy, z bogiń, co się naówczas rozbiegły po Warszawie, jedna odchodziła tym razem bezpowrotnie: Nike z pod Cheronei.

W części muzycznej przygotował program p. Walewski: on kierował kwartetem wokalnym i towarzyszył produkcyom pp. Łowczyńskiej i Schwarzensteina. Dyr. Rydel dokonał wyboru w części deklamacyjnej: sam Słowacki, Kraśński i Norwid. Deklamowali pp.: Szpak-Bandrowska, Kochanowicz i Solska, której kunszt słowa spłynął nadspodzianie ciepłą falą wzruszenia. W pierwszym akcie „Nocy listopadowej“ mocowali się z trudnościami roli i wspomnieniem poprzedników naogół pomyślnie pp. Pytlińska i Nowakowski.

Tadeusz Świątek.

WYDAWNICTWA INSTYTUTU EKONOMICZNEGO N. K. N.

Nakładem Instytutu Ekonomicznego wyszła praca posła prof. Dra Józefa Buzka, p. t. „Pogląd na wzrost ludności ziemi polskiej“. Praca ta, jednego z najznakomitszych polskich uczonych obejmuje bogaty materiał faktyczny, dotyczący wzrostu ludności i najważniejszych warunków ekonomicznych tego wzrostu. Praca prof. Buzka ze względu na jej wielką wartość naukową, wyjdzie również w języku

niemieckim. Skład główny w księgarni Krzyżanowskiego w Krakowie, do nabycia we wszystkich księgarniach, cena bardzo przystępna, 2 K.

Jako zeszyt drugi wydawnictw Instytutu Ekonomicznego N. K. N. wyszła praca znanego badacza, Rady Dworu, Prof. Dra Ernesta Tilla, p. t. „Nowela do austriackiego kodeksu cywilnego“, wraz z tekstem polsko-niemieckim noweli. Praca ta niezbędna dla każdego praktyka jest na składzie głównym w księgarni Frommmera w Krakowie, cena 2 K. 50 h.

Trzeci zeszyt wydawnictw Instytutu Ekonomicznego N. K. N. tworzy praca śp. Edwarda Milewskiego, znanego badacza kooperatywy, p. t. „Kooperacya i jej znaczenie w Polsce“. Cena niezwykle żywo napisanej pracy Edwarda Milewskiego, wynosi 1 K. 50 h. i jest na składzie głównym w księgarni Krzyżanowskiego.

Jak wiadomo, Instytut Ekonomiczny pragnie w swych wydawnictwach ściśle naukowych lecz przystępnych dla ogółu, dać całokształt stosunków gospodarczych na ziemiach polskich. Jako dalsze wydawnictwa ukazą się: praca dra Antoniego Górskiego, t. t.: „Braki produkcji krajowej“, praca prof. politechniki, Edwina Hauswalda, p. t. „Przemysł na ziemiach polskich“, Doc. Dra Krausego, p. t. „Rolnictwo polskie“, Dra Zdzisława Śluszczyńskiego, p. t. „Handel na ziemiach polskich“, Dra Leona Bigeleisena, p. t. „Gospodarcze podstawy kwestyi włościańskiej“, ks. Dra Mytkowicza „O emigracyi sezonowej“, Dra Benisa „O górnictwie węglowem“ i t. d.

W sprawach wydawnictw udziela wszelkich wyjaśnień sekretaryat Instytutu Ekonomicznego N. K. N., Kraków, Krowoderska 26, Dr. Leon Biegeleisen.



Ilustrowany Tygodnik Polski w okopach IV. pułku.

Fot. Mucha.